

Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

.. The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 5/135

4. III. 1944

6d.

ROK V.

Daleka droga do Japonii.

Atak floty i wojsk amerykańskich na wyspy Marshalla a ostatnio na wyspy Kurylskie na północy ożywił tempo wojny na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie. Wojna ta, prowadzona na ogromnych przestrzeniach, wymaga kolosalnego tonażu okrętowego i ogromnego wysiłku w zakresie organizacji zaopatrzenia wojsk walczących. Obraz tych trudności i wysiłków daje nam streszczony poniżej artykuł "Observera".

Wszelkie wątpliwości co do rodzaju decyzji, podjętych na konferencji w Quebec zostały rozproszone po ostatnim ataku amerykańskim na wyspy Marshalla. Sojusznicy zapoczątkowali realizację wielkiego planu ofensywnego przeciwko Japonii. Zbiega się to równocześnie z napięciem walk w Europie, gdzie chodzi o ujęcie w śmiertelne kleszcze armii niemieckiej.

Trudno jest porównywać wojnę w Europie z wojną na Dalekim Wschodzie. Obie zaczynają osiągać swój punkt szczytowy; obie wymagają równoczesnego uruchomienia środków i zasobów państw sojusznicznych. Wojna na Dalekim Wschodzie nie jest bynajmniej ubocznym i drugorzędnym teatrem wojny. Jak ona wyglądała w istocie, można zdać sobie sprawę przy bliższym przyjrzeniu się działaniom w czasie ataku na wyspy Marshalla.

"Marsz zbliżania się" floty amerykańskiej był prawie pięciokrotnie dłuższy niż marsz penetrujący armii niemieckiej w kierunku Moskwy: 2700 mil na Pacyfiku, w porównaniu do 600 mil w Rosji. Poza tym to jest marsz na morzu, a nie na lądzie. Ilość tonażu okrętowego potrzebnego do przewiezienia i osłony dwóch dywizji, atakujących wyspy Marshalla, wystarczyłaby do przetransportowania co najmniej dwudziestu dywizji w razie zaatakowania Europy. Flota, użyta do ataku na wyspy Marshalla, była prawie tak wielką, jak w czasie inwazji północnej Afryki.

Potrzeba było kilku miesięcy czasu i skoncentrowania wielkiego wysiłku - tak wielkiego, że przewyższył on wszystkie dotychczasowe - aby

zamienić Północną Afrykę w bazę wypadową do ataku na fortecę europejską, odległą o 150 mil. Jak wielki więc będzie potrzebny wysiłek, aby zamienić dziewicze laguny, koralowe atole i wyspy archipelagu Marshalla w bazy wypadowe do ataku na Truk, odległy o 1300 mil, lub Guam, odległy o 1800 mil na drodze do Tokio!

Zaopatrzenie dla dwóch dywizji przywozi się z baz, odległych o 3000 mil; potrzeba do tego dwóch milionów tonażu okrętowego, przy czym same statki i okręty również muszą być zaopatrywane. Składy i zapasy sprzętu i amunicji należy zorganizować na zdobytych bazach i trzymać je w pogotowiu do następnego ataku. W porównaniu wszelkie obliczenia tonażu okrętowego, potrzebnego do inwazji Europy, wydają się śmiesznie małe. Musimy zachować dużą powściągliwość w ocenie ujawnionego planu działań, opracowanego w Quebec. Jest on bez precedensu.

W czasie ataku na wyspy Marshalla straty amerykańskie były wyjątkowo małe, nie napotkano bowiem poważnego oporu ze strony Japończyków. Lecz jak będzie przy zdobywaniu wyspy Truk, która przez wiele dziesiątków lat była dobrze przygotowywaną i rozbudowywaną morską bazą japońskiej floty? Jak będzie z wyspą Guam, zabraną Amerykanom na początku wojny i zamienioną na fortecę? Wojska, które zdobyły wyspy Marshalla, nie wystarczą do zdobycia głównych japońskich umocnień na Pacyfiku. Potrzeba będzie do tego dużo więcej ludzi i więcej tonażu okrętowego. Nawet Mr. Kaiser obruszy się, gdy się zażąda od niego takiego tonażu.

Zarysowujący się plan działań na Pacyfiku wymaga od Sprzymierzonych napięcia wysiłku ponad wszelkie oczekiwania. Wymagania nowoczesnej wojny, prowadzonej równocześnie na dwóch frontach i na dwóch końcach świata są ogromne: wszelki łatwy optymizm i upraszczanie sobie sprawy jest oczywistym nonsensem. Jeśli chodzi o W. Brytanię, to jej siły ludzkie, przemysł, duch walki i poświęcenie będą poddane jeszcze straszliwej próbie.

Obraz dzisiejszej sytuacji strategicznej zasługuje na baczność uwagi. W pewnym sensie front na Pacyfiku przypomina rosyjsko-niemiecki front we wschod-

niej Europie. Rozciąga się on na wielkich przestrzeniach i posiada szereg silnych umocnień, bronionych na dużej głębokości.

W wojnie przedwkrwko Japonii atak na wyspy Marshalla, pierwsze odebrane terytorium japońskie, jest jedynie próbnym krokiem. Nie potwierdza on tezy, że jedynym sposobem pokonania Japonii jest podejście od strony morza, zdobywanie po kolei wszystkich wysp, dopóki sama Japonia nie znajdzie się w zasięgu okrętów wojennych i samolotów. Udawadnia on tylko po prostu, że gdziekolwiek nastąpi ostateczne uderzenie, siły obronne Japonii są rozbite i rozproszone na wielkich przestrzeniach, a jej wydłużone nadniernie linie komunikacyjne są zawsze narażone na poważne niebezpieczeństwo. Odległość między japońskim frontem w Burmie a wyspami Marshalla wynosi 6000 mil.

Ten fakt decyduje o strategii Sprzymierzonych.

Jeżeli Japonia będzie zmuszona walczyć na morzu w tak znacznej odległości od swych baz centralnych oraz w Burmie, zdala od swej metropolii, to oczywiście wytworzy to dla niej bardzo trudną sytuację. Zagrożeni Japończycy będą zmuszeni z uwagą obserwować silną i zwycięską Rosję i być bardzo ostrożni i oględni w swych posunięciach na północy.

Rozpoczęty obecnie atak jest przedsięwzięciem na ogromną skalę. Japończycy posiadają loo dywizji pod bronią /oraz conajmniej równą ilość sił w rezerwie/, ich flota jest równie silna jak w chwili wybuchu wojny, a siły lotnicze nie zdradzają żadnych oznak załamania się. Dotychczas walczyliśmy z Japończykami na ich wysuniętych pozycjach. Obecnie zaczynamy wdierać się do wnętrza bastionu. Najważniejszym problemem jest dostać się do głównych sił japońskich poprzez wielkie przestrzenie morskie na wschodzie, oraz poprzez dżunglę na zachodzie.

Japończycy, jak to wykazał admirał Tenétsugu Sosa w czasopiśmie wojskowym, będą prowadzić wojnę na wyczerpanie na szerokich peryferiach swego pasa obronnego. Na to nie mogą pozwolić sobie Sprzymierzeni, gdyż drugi front w Europie wymaga uruchomienia ogromnych środków walki. W pierwszych latach wojny poniesione zostały duże straty z powo-

du rozproszenia sił. Nie można wystawiać na szwank pewnych sukcesów walki w Europie przez rozpoczęcie nierozstrzygających działań na Pacyfiku. Koncentracja wysiłku na jednym miejscu i w jednym czasie, z jaknajwiększą szybkością działania, musi być myślą przewodnią planu Sprzymierzonych w chwili, gdy wojna przeciwko Niemcom wchodzi w ostateczną i decydującą fazę.

Rozum polityczny Turcji.

Turcja nie zdradza ochoty na przystąpienie do toczącej się wojny. Ma widocznie swoje powody i to prawdopodobnie poważne. Bosfor od dawien dawna jest trudnym do osiągnięcia marzeniem Rosji. Czy w tej wojnie nie zagraża ewentualność utraty go przez Turcję? Czy przystąpienie do wojny po stronie Aliantów jest dostatecznym atutem, ażeby nie być zmuszonym oddać na rzecz jednego z członków Koalicji części swych terytoriów z tych czy innych powodów? Widzimy na przykładzie Polski, że dotrzymywanie wiary i sojuszu nie wystarcza. Do tego należy zawsze dodać czynnik, który nazywa się siłą...

Redakcja Cavalcade jest widocznie innego zdania. Stwierdza że Turcja nie wykonywuje swych zobowiązań. Turcja jest mądrzejsza. Woli zachować najpoważniejszy w współżyciu międzynarodowym czynnik, t. j. siłę na moment, kiedy jakiś "przyjaciół" będzie jej zagrażał.

I w tym wypadku nawet Cavalcade nie potrafi tego zmienić.

Artykuł ogłaszamy, gdyż ciekawy jest sam w sobie. Ukazał się on pod tytułem: "TURKEY STAYS ON BOTH SIDES" w No. 311 z dnia 19 lutego 1944.

Wielkie nadzieje na wejście Turcji do wojny u boku Aliantów narazie się rozwiały.

Zainicjowane przez Premiera Churchilla u schyłku roku ubiegłego anglo-tureckie rozmowy woj-skowe spełzły na niczym.

Czynnikiem, który zaważył decydująco na szali,

było niepowodzenie brytyjskich operacji wojennych na wyspach Dodekanezu. Niemcy z łatwością odparowali niezdecydowane posunięcia Brytyjczyków i odpowiedzieli kontruderzeniem.

Do tego momentu Turcy byli już prawie zdecydowani na czynną interwencję.

Drugim czynnikiem były słabe stosunkowo postępy Aliantów we Włoszech.

Walcząc na tym froncie, Niemcy dążą do osiągnięcia nie tylko wojskowych lecz i politycznych sukcesów - w Ankarze.

Decydujące zwycięstwo Sowietów wywołałoby zapewne w Turcji więcej zaniepokojenia, niż radości. W stosunkach bowiem turecko-rosyjskich istnieje cały szereg trudnych problemów.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że Turcja jest przerażona wzrostem potęgi Sowietów. Wszystkie te obawy Turków wygrywa genialnie von Papen, mistrz w grze dyplomatyczno-sabotażowej.

"W. Brytania i Stany Zjednoczone", tłumaczy on Turkom, "nie mogą wygrać wojny - mogą one najwyżej doprowadzić ją do nierozegranej. Sowiety natomiast mogą wojnę wygrać i stąd płynie niebezpieczeństwo dla Turcji".

Wszelka pomoc okazana przez Turcję Aliantom, twierdzi von Papen, szkaby w ostatecznym rezultacie na korzyść Sowietów. Przecież sam Hitler powiedział w ostatniej swej mowie, że tylko Rosja, albo Niemcy mogą zwyciężyć.

Dla prezydenta Inonu i premiera Sarajoglu gra von Papena jest zapewne jasną i przejrzystą. Żaden jednak z nich nie jest Kemalem Paszą, - nawet wzięci razem nie dorównują oni jego indywidualności. Brak im jest rzeczy najważniejszej: przemożnego wpływu, jaki ten wielki człowiek miał na turecką armję.

Von Papen wmawia w nich uporczywie, że dla zapewnienia bezpieczeństwa państwu, jedynie zachowanie jaknajściślejszej neutralności jest dla Turcji potrzebne. Pomijając, rzecz prosta, sprawę dostaw chromu dla Niemiec.

Churchill, oczywiście, tłumaczy Turkom coś wręcz przeciwnego. Chłopska jednak mentalność Anatolijczyków nie poddaje się tym perswazjom. Chwytają

oni po chłopsku wszystko co im wpada w ręce: tłuste umowy handlowe z Niemcami i bogate Lend-Lease dostawy z W. Brytani i Stanów Zjednoczonych.

Jasnym jest, że Turcy nie mogą wciąż tylko brać, w zamian nic nie dając. Nawet brytyjscy mężowie stanu muszą podsumowywać ogólną wartość darów w naturze i pomocy, udzielanej Turcji i zadać sobie pytanie, z jakiej racji ma jakieś neutralne państwo ciągnąć tak wielkie korzyści bez żadnego materialnego ekwiwalentu ze swej strony.

Najświeższe oficjalne dane z Ankary wskazują na to, że Turcja tylko wówczas zdecyduje się na rzućenie rękawicy przeznaczeniu i wystąpi przeciwdefinitywnie pobitym Niemcom, jeżeli zostanie nasycona surowcami dostarczonymi jej na podstawie Lend-Lease aktu.

W międzyczasie - nic. Żadnych zmian, a w każdym razie niema mowy o zerwaniu z niemieckim wrogiem i o przerwaniu mu dostawy chromu.

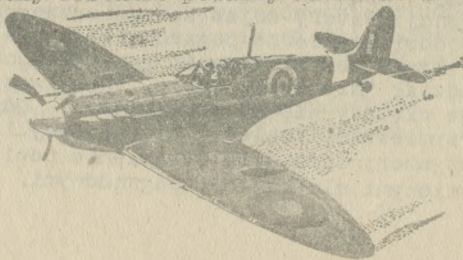
W kołach dyplomatycznych określa się politykę Turcji mianem "polityki reasekuracji". Szary człowiek ma inne na to określenie.

Neutralność Turcji okupowana jest krwią Sprzymierzonych Narodów. Niedawno łała się w jej obronie krew Greków i Jugosłowian. A Turcja nie zdobyła się wówczas nawet na dyplomatyczną interwencję, do której była moralnie zobowiązana.

Na cóż więc zdała się ta cała wstydliva gadania o jakimś fikcyjnym Aliancie ?

Turcja jest wciąż jeszcze w stadium krzepnięcia ideologicznego, jak zresztą i wiele innych państw, które nie dostrzegają przemian zachodzących w świecie.

Pewnego jednak dnia wojna się skończy i Turcji przedstawiony zostanie poważny rachunek do uregulowania.



Wojna psychologiczna.

The American Legion Magazine podaje ciekawe informacje o t.zw. wojnie psychologicznej w czasie kampanii sycylijskiej. Streszczamy je w nadziei, że zainteresują naszych Czytelników.

W czasie kampanii sycylijskiej amerykański artylerzysta załadował pewnej nocy pocisk do działka polowego, skierowanego na nieprzyjacielski punkt oporu. Po odpaleniu pokazał się u wylotu lufy biały płomień i pocisk poszybował z wyciem w ciemną noc. Za chwilę w pewnej odległości rozległ się słaby wybuch. Kanonier zirytował się: "Do diabła z taką papierową wojną".

Pocisk był napełniony ulotkami. Mówiły one Włochom, że są oni pionkami w rękę Niemców, którzy z ich pięknej Italii robią ogromne pole bitwy; sytuacja Włoch jest beznadziejna; ulotki są "przepustkami do poddania się", dzięki którym otrzymają dobre pożywienie i bezpieczne schronienie poza liniami wojsk sojuszniczych. Żołnierze amerykańscy, znający język włoski, wygłaszali w pierwszej linii to samo przez głośniki, a echo powtarzało ich słowa w górach.

Przed świtem bombowce amerykańskie rozrzuciły poza linią frontu większą ilość "przepustek". Znudzeni piloci skarżyli się, że kilka dobrych bomb dałoby lepsze rezultaty. Lecz tegoż dnia setki Włochów się poddały. Każdy przyszedł z białą ulotką w rękę. "Przepustka do niewoli" wołali niespokojnie. Zaproszono ich uprzejmie do ogrodzenia, otoczonego kolczastym drutem, gdzie czekał na nich smaczny obiad.

W ten sposób pracuje wojskowy wydział propagandy. Jest on częścią sekcji informacyjnej głównej kwatery wojsk sprzymierzonych. Rok temu zawodowi żołnierze pogardzali tą pracą. Wkrótce po bitwie pod El Alamein generał Montgomery powiedział "Nie życzę sobie, ażeby wozy propagandowe plątały się na polu bitwy." Gdy jednak Sprzymierzeni znaleźli się na Sycylii, ten sam Montgomery zarządził strzelanie pociskami, wypełnionymi ulotkami propagandowymi.

Zaczął się to wtedy, gdy generał Eisenhower planował inwazję północnej Afryki. W owym czasie Ameryka i W. Brytania miały około pół tuzina różnych cywilnych i wojskowych organizacji, które chciały walczyć z nieprzyjacielem przy pomocy propagandy i każda z nich miała na ten temat swe własne pomysły. Tysiące idei płynęło z urzędu informacji wojennych, z urzędu służby strategicznej z brytyjskiego ministerstwa informacji oraz od oficerów wywiadowczych armii i floty. W rezultacie panował chaos.

W październiku 1942 r. generał Eisenhower oddał całe zagadnienie w ręce płk. Karola B. Hazeltine, który przez 33 lata służył w kawalerii, a ostatnio był dowódcą zmotoryzowanego pułku piechoty. Hazeltine zebrał mężczyzn i kobiety z różnych organizacji propagandowych i zorganizował z nich wydział propagandowy. "Nie znam się zupełnie na propagandzie" - powiedział im bez ogródek - "lecz wierzę w jej siłę. Znam pracę wojska i rozumiem się na organizacji. Będziemy dotąd próbowali, dopóki nie osiągniemy dobrych rezultatów. Wy piszcie, a ja będę sprzedawał to armii po dobrej cenie".

Wydział propagandy dzieli się na trzy sekcje: zespół propagandy bojowej, posuwający się za oddziałami pierwszej linii, zespół okupacyjny, pracujący na terytorium okupowanym oraz zespół, pracujący w bazach wyjściowych i uzgadniający wysiłek propagandowy kwatery głównej wojsk sprzynierzonych z propagandą Londynu i Waszyngtonu.

Oto jest typowy przykład w jaki sposób ta organizacja pracuje: John Whitaker, uprzednio amerykański korespondent zagraniczny, przybył z zespołem propagandy bojowej do Palermo i natychmiast zajął rozgłośnie radiową oraz redakcje i drukarnie miejscowych dzienników. Następnie zażądał przybycia zespołu okupacyjnego. W ciągu kilku dni rozgłośnia rozpoczęła nadawanie wiadomości w języku włoskim a dziennik Sicilia Liberta zaczął podawać Sycylijczykom pierwsze od 20 lat prawdziwe wiadomości.

Z początku praca wydziału propagandy była bardzo trudna. Organizacja płk. Hazeltine'a

rozpoczęła swą pracę wtedy, gdy przebieg kampanii w Tunisie przedstawiał się dość krytycznie i nikt nie zwracał uwagi na propagandę. Zdobywali oni jednak, gdzie mogli, pieniądze i materiały i drukowali masę ulotek. Lecz piloci nie chcieli ich zabierać, a patrole piechoty nie cierpiały wypraw poza linie nieprzyjacielskie celem rozrzucania ulotek. Brytyjski kapitan O'Neil wynalazł sposób napełniania ulotkami pocisku artyleryjskiego. Ładunek wystarczał do pozbiccia skorupy pocisku i nie palił papierów. Lecz artyleria nie chciała znowu strzelać tymi pociskami, nazywanymi "łachmanami".

Oficerowie wydziału propagandy cierpliwie przekonywali generałów. Co tydzień udawało im się rozrzucić coraz więcej ulotek, aż w końcu doczekali się rezultatów. Włosi zaczęli poddawać się z początku dziesiątkami, później setkami, każdy z ulotką w rękę, jako z przepustką.

Płk. Hazeltine, opowiadając o tym, uśmiecha się. "Pewnego dnia przyszło dwóch Włochów z ulotkami i opowiedzieli, że zostawili za sobą 60 towarzyszy, którzy boją się przyjść, gdyż nie mają "przepustek". Posłaliśmy dwóch żołnierzy i przyprowadzili ich. Innym razem przyszedł Włoch i poprosił o dodatkową ulotkę, pobiegł z powrotem i przyprowadził swego brata. Mówiono mi, że w ostatnich dniach kampanii w Tunisie Arabowie zorganizowali czarną giełdę i sprzedawali ulotki jako "przepustki do niewoli" Włochom i Niemcom".

Wzięty do niewoli niemiecki kapitan opowiadał oficerom wywiadowczym: "Wasza propaganda czyniła okropne spustoszenie w naszych szeregach. Nawet te małe ulotki. Gdy się je czytało, każdy miał wrażenie, że czyta prawdę i że nasz rząd oszukuje nas. Miałem uczucie, że nie pozostaje mi nic innego jak strzelić sobie w łeb. Trudno było nie pozwolić mym ludziom czytać tych ulotek, gdyż były one wszędzie".

Teraz dopiero generałowie zaczęli istotnie zwracać uwagę na propagandę. Był to wielki dzień w życiu płk. Hazeltine, gdy generał Patton, wówczas dowodzący 2-ym amerykańskim korpusem, wydał rozkaz rozrzucania ulotek na swym odcinku frontu.

Gdy lotnictwo miało zbombardować objekty wojskowe w Rzymie, generał Spaatz rozkazał wyrzucić kilka milionów ulotek, dla ostrzeżenia mieszkańców miasta.

Wydział propagandy używał również radia dla osłabienia oporu nieprzyjaciela i siła tej niewidzialnej broni wkrótce ujawniła się przez nagłą zmianę w wyglądzie jeńców niemieckich. Jeszcze w Tunisie wzięci do niewoli Niemcy pełni byli wiary w fantazje Dr. Goebbelsa. Jedni mówili: "Teraz, gdy Japończycy rozpoczęli inwazję na Syberii, skończymy z Rosją w tym roku, a w przyszłym roku pobijemy was i Anglię". Inni znów mówili: "Mamy nadzieję, że zawieciecie nas do Ameryki, chcielibyśmy zobaczyć jak wygląda Nowy York, zbombardowany przez Japończyków". Wszyscy byli strasznie pewni siebie.

Lecz na Sycylii bardzo wielu jeńców niemieckich było posępnych i przygnębionych. Wiedzieli, że ofensywa niemiecka w Rosji nie powiodła się. Wiedzieli, że Sycylia jest stracona i że ten sam los sądzony jest Włochom. Niektórzy oficerowie przyznawali, że niema nadziei, aby Niemcy wygrały wojnę. Niemcy ci pochodzili głównie z rezerwowych dywizji z południowej Francji, która przez 14 godzin dziennie była pod obstrzałem propagandy radiowej. Ponieważ wiele niemieckich czołgów i innych pojazdów jest wyposażonych w odbiorniki radiowe, przeto niepodobiestwem jest zapobiec słuchaniu obcych audycji radiowych. Rozgłośnie wydziału propagandy nadawały w języku włoskim, niemieckim i francuskim. Główną zasadą w przygotowaniu wiadomości było: "Podawać je w sposób prosty i mówić tylko prawdę. Nasza wartość polega na tym, aby Niemcy nie złapali nas na żadnym kłamstwie".

Propaganda radiowa bombardowała Włochy bez przerwy i niema żadnej wątpliwości, że audycje są słuchane przez ludność włoską. Generał Eisenhower użył rozgłośni wydziału propagandy do zawiadomienia Włochów o zawieszeniu broni. Później wydział propagandy nadawał przez radio specjalne instrukcje dla Włochów, jak należy niszczyć komunikacje niemieckie. Ostatnie raporty wskazują, że instruk-

cje te są wykonywane ściśle.

"Rozpoczęliśmy tę grę, nie mając o niej żadnego pojęcia," - opowiada C.D.Jackson, cywilny członek wydziału propagandy. "Lecz obecnie mamy bardzo wiele dowodów na to, że uczciwa propaganda jest równie zabójcza jak nalot bombowców. A poza tym oszczędzamy życie żołnierzy alianckich. Każdy nieprzyjacielski żołnierz, przychodzący do nas z ulotką w rękę, oznacza jednego mniej strzelającego do naszych chłopców".

Tajemnica El Alamein.

Major Peter W. Rainier w swej książce p. t. "Pipe Line to Battle" odsłania nam tajemnicę bitwy pod El Alamein, która zaważyła na losach tej wojny. Autor, weteran z poprzedniej wojny, przez dwa lata miał za zadanie zaopatrzenie w wodę 8-mej armii. Brał on udział w całej kampanii afrykańskiej aż do bitwy o Tunis w maju 1943 r. Przed wojną był doradcą technicznym rządu Kolumbii.

Większość ludzi na świecie przypuszcza, że ofensywa niemiecka w Egipcie zatrzymana została pod El Alamein przez Brytyjczyków. Tak nie było. 3 lipca 1942 r. Rommel przełamał centrum brytyjskiego ugrupowania i resztki trzech pancernych dywizji wdarły się w tę lukę. Do zaroku przebyły one połowę drogi między El Alamein i Aleksandrią /50 mil/.

Następnego, najbardziej krytycznego w ciągu tej wojny dnia, rozegrał się na piaskach pustyni fantastyczny dramat.

Żołnierze Rommela widzieli już gołym okiem wieże Aleksandrii, cel, do którego uparcie dążyli w ciągu dwóch lat pustynnej wojny. Odpoczynek, żywność, woda - szczególnie woda dla wyschłego gardła - wydawało się że są tak blisko, że tylko ręką sięgnąć po nie. Ruszyli naprzód.

Lecz nagle na pustyni pomiędzy nimi a ich upragnioną zdobyczą wzbłyły się tumany pyłu. Spowodowały je resztki brytyjskiej armii: 50 czołgów, kilkadziesiąt dział polowych oraz samochodów, wypełnionych zmęczonymi żołnierzami.

Na tym odcinku nieprzyjaciel miał prawie takie same siły: około 50 czołgów i również około 5.000 ludzi. Różnica polegała tylko na sile ognia: Brytyjczycy nie mieli nic do przeciwstawienia niemieckim działom 88 mm.

Wynik tej bitwy i doniosłe jej skutki zależały od odwagi i męstwa niewielu ludzi. Gdyby tego dnia Brytyjczycy nie zatrzymali Rommela, Aleksandria musiałaby upaść i cała Afryka byłaby stracona. Rosja zostałaby oskrzydłona od strony Kaukazu, a macki państw Osi wyciągnęłyby się poprzez Azje w kierunku Japonii.

Poprzez cały ranek obaj przeciwnicy tłukli się na rozpalonej pustyni. Ludzie po obu stronach byli tak wyczerpani, że zaledwie mogli patrzeć i celować przez piasek, zmieszany z potem, który zalepiał im przekrwione oczy. Obie strony były bardzo bliskie załamania się już od początku bitwy. Lecz załamanie po jednej lub po drugiej stronie nastąpiłoby wtedy, gdyby zawzięta wola walki zupełnie się wyczerpała.

Słońce stało w zenicie i prażyło niemilosiernie. Brytyjczycy dochodzili już do granicy swej wytrzymałości, gdy nagle Niemcy się załamali. Dziesięć minut dłużej a nastąpiłoby to samo po stronie brytyjskiej. Powoli i niechętnie niemieckie czołgi typu Mark IV zaczęły ociężale wycofywać się z bitwy.

I wtedy stał się zdumiewający i nieprawdopodobny fakt. 1100 żołnierzy 90-ej lekkiej dywizji pancernej, elity afrykańskiego korpusu Rommela, potykając się, przyszło przez nagie piaski pustyni z rękami, podniesionymi do góry. Wzięcie do niewoli garstki żołnierzy tej dywizji dałoby sposobność brytyjskiemu pułkowi chwalić się swym tryumfem przez szereg miesięcy. Lecz poddanie się 1100 tych samych ludzi, gdy droga do ucieczki leżała otworem, zakrawało po prostu na cud.

Gdy Niemcy, kuszykając podeszli bliżej, tajemnica pustyni zaczęła się wyjaśniać. Spękane i czarne od zakrzepniętej krwi, zapachke języki Niemców wysunięte były z ust. Nawpół przytomnie schwycili manierki z wodą brytyjskich żołnierzy i chci-

wie sączyli łyki zbawczego płynu pomiędzy spieczoną wargi. Autor rozmawiał później z nimi i wtedy to cała historia wyszła na wierzch.

Gdy Niemcy przerwali się dnia poprzedniego pod El Alamein, byli już bez wody w ciągu 24 godzin. Lecz na porzuconych przez Brytyjczyków pozycjach odnaleźli sześć-calowy rurociąg wodny. W różnych punktach na odcinku długości dwóch mil, wywiercili dziury w rurach i klęcząc, zaczęli pić zimny, tryskający strumień wody. Ogółem piło około 1000 ludzi i zdążyli oni przełknąć kilka mocnych łyków wody, nim spieczona gardła ostrzegły ich że woda była słona.

Przez całą noc ludzie ci cierpieli niewymowne katusze. Dnia następnego, jedynie myśl o ugaszeniu pragnienia w niedalekiej Aleksandrii, podtrzymywała ich siły w pierwszych godzinach bitwy. Lecz gdy czołgi niemieckie zawróciły z pola bitwy, piechurzy nie potrafili dłużej znieść udręki. Wcałej masie przeszli na stronę brytyjską - aby otrzymać świeżą wodę.

Dlaczego rurociąg zawierał słoną wodę? Autor, który przez całą kampanię pustynną zaopatrywał w słodką wodę 8-mą armię, tak objaśnił ten niesamowity zaiste wypadek. Rurociąg dopiero co wykończono i dla wypróbowania go i oczyszczenia użyto, jak zwykle, słonej, morskiej wody. Gdyby Niemcy przeszli przez El Alamein dzień wcześniej znaleźliby rurociąg jeszcze pusty. W dwa dni później byłby pełen świeżej, słodkiej wody. Tymczasem Niemcy napili się wody słonej i nie mogli rozpoznać od razu jej smaku, gdyż ten ich zmysł znieczulony był przez używanie po drodze słonawej wody oraz przez wielkie pragnienie.

Równowaga sił w tym krytycznym dniu bitwy była tak chwiejną, że można wlerzyć Niemcom, iż gdyby nie te słone tortury, przełamałby opór brytyjski. I wtedy bezbronna Aleksandria wpadłaby w ich ręce.

Karty historii świata zapisywane są często takimi niesamowitymi wypadkami. Dzięki nim losy ludzkości niejednokrotnie przybierały całkiem niespodziewany kierunek.

Mija dzień i nakoniec zjawiają się upragnieni przewodnicy. Rozczarowanie następuje dość prędko. Chłopy kute na wszystkie cztery nogi, wysyskiwacze co się zowie, żądają 1000 koron, a inaczej nie pójdą. Zważywszy, że za życie w piekarni też już jesteśmy winni, finansowa strona zagadnienia przedstawia się fatalnie. Sytuację ratuje Berg, który orzeka, że piekarz na pieniądze zaczeka, a brakujące jeszcze, po oddaniu przewodnikom futra Wołyncewicza, 300 koron, on pożyczycy. Przyznam się, że ten gest ze strony nieznanego Żyda zaskoczył mnie.

Dla porządku zaznaczę, że z Węgier cały dług mu przesłaliśmy. Od przewodników dowiedzieliśmy się, że koledzy nasi już są za granicą, a później od Pyzalskiego w Budapeszcie, że ci dranie doprowadzili ich tylko do granicy i wskazawszy kierunek, uciekli. Pyzalski i Wołyncewicz wpakowali się na słowacki posterunek i granicę przekroczyli, pędząc co tchu pod kulami strażników do zbawczego "węgierskiego lasu". Ale o tym wszystkim przy wyjściu z Preszowa nic nie wiedzieliśmy.

Wyruszyliśmy w dzień i odcinek ku granicy, w prostej linii na Koszyce, przebyliśmy bez przeszkód. Jednakże wie czorem jeden z przewodników nam zwiął. Drugi poprowadził nas jeszcze ze dwa kilometry, a potem wskazując kierunek powiedział, że również dalej nie pójdzie, że możemy iść już sami. Krótko mówiąc oświadczył, że jak tamten poszedł do domu, to i on również pójdzie. Pieniądze w większej części, bo 700 koron /w tym futro/ już otrzymali. Wyrażna granda! Ponieważ zmęczony już mocno Jurk, zaczął ustawać, poprosiłem profesora i Olszewskiego aby go wzięli pod ręce, a sam zaopiekowałem się przewodnikiem.

Oświadczyłem mu, że myśmy swoje zrobili, wobec czego oni muszą zrobić swoje. Nie poto wydaliśmy na nich wszystkie pieniądze, żeby nas tu przyprawdzili z Preszowa, bo to potrafilibyśmy zrobić bez nich, a poto żeby nas przeprowadzili przez granicę. Jeżeli nas nie chce prowadzić przez granicę, to niech nie prowadzi, ale żartów z nami niema i go nie wypuścimy, chyba że nas zaprowadzi do chałupy swojego kolegi, zbiegłego przewodnika.

Chodziło mi o to, że z chałupy już byle jak nas się nie pozbędzie i będziemy mogli go również trochę zaszantażować. Po dłuższej kłótni musiał mi złożyć ustąpić /przypuszczam, że drogę przez granicę znak tylko tamten zbiegły przewodnik, i dlatego ten wolał ostatecznie zaprowadzić nas do niego niż ryzykować samemu/ i ruszyliśmy, ku jego odległej o 8 kilometrów wsi. Razem wynosiło to już około 36 kilometrów.

Zbiegłego przewodnika zastaliśmy już w łożeczku. Kiedy nas zobaczył, przeraził się i wściekł. Wynikła piekielna awantura między przewodnikami na temat, poco ten drugi nas tu przyprowadził. Ten znowuż oświadczył pierwszemu, że -

- jak potrafisz się od nich odcepić, to się odcep, - strzelił drzwiami i wyszedł. Gospodarz do mnie:

- Pocoście przyszli? Mogliście już sobie iść prosto za granicę! Tu pełno gwardii Hlinkowskiej i nocować tu nie możecie.

Panuję nad sobą i tłumaczę mój punkt widzenia. Ale widzę, że on się Hlinkowców boi i głośnej awantury ze mną szukać nie będzie, więc oświadczam, że stąd bez przewodnika nigdzie nie pójdziemy.

Ubiera się więc prędko i wychodzi; widocznie na naradę z drugim. Czekamy. Jurek wyczerpany leży na glinianej, lepkiej od błota, podłodze. Wszyscy są już przemęczeni. Po chwili z barłogu w kącie złazi baba i milcząc podkłada Jurkowi pod głowę jakąś poduszkę.

Orientuję się, że kobiece serce daje mi w razie kłótni potencjalnego sprzymierzeńca. Nie wiem tylko, jak mocna jest jej pozycja w chacie. Przewodnik wraca w towarzystwie jakiegoś wyrostka i powiada że ten razem z drugim, czekającym na dworze, nas poprowadzi. Obawiam się jednak podstępów i czy ten wyrostek, po wyprowadzeniu nas gdzieś dalej, nie ucieknie. Poza tym do granicy jest wprawdzie nie daleko, około 3 kilometrów, ale do Koszyc 15. Czy dojdziemy?

Chłop tłumaczy znowu absolutną niemożliwość pozostania tutaj przez dzień i dodaje:

- Przejdziecie na Węgry, to tam się już nie boicie, a zaraz za granicą jest węgierska wieś,

tam wypoczniecie.

Na to wszystko, widząc moje wahania, wtrąca się z barłogu w kącie baba, wołając mnie do siebie.

- Panie, nie bójcie się, my was nie "prodamy", idźcie z tymi młodymi, oni na Węgry chodzą i droge znają, a pieniądze im dopłacicie tam.

Widzę, że nie pozostaje nic innego więc się decyduję i pytam tylko Jurka, czy może dalej iść.

- Tatusiu, jak jeszcze trochę odpocznę, to pójdę.

Wynika jeszcze kwestia na temat płatności pozostałych 300 koron, ale tę przerywa baba, kategorycznym tonem, że "zapłacą tam!"

Wypoczywamy jeszcze chwilę i ruszamy, bo noc też nie czeka, a wiem również, że warty węgierskie w tym czasie już naszych też kapały i odstawiały z powrotem.

Może to i lepiej się stało, że granicę przekraczaliśmy tutaj, zdala od Koszyc, a nie koło bardzo uczęszczanego Budzimira, bo przekroczyliśmy ją bez dalszych przygód. Przedzieraliśmy się przez jakieś gęste krzaki, potem szliśmy przez las, potem zjeżdżaliśmy na siedzeniach, po śniegu z jakiejś stromej góry, potem leżeliśmy koło drogi i czekaliśmy aż nas miną jakieś wozy, potem drapaliśmy się na jeszcze bardziej stromą górę i na koniec na jej szczycie, chłopak oznajmił nam, że "my som na Uhrach". Mamy iść tą wąską drogą, którą widzimy aż do wsi, a potem dużą drogą zajdziemy aż do Koszyc, nad którymi widać stąd właśnie kunię od świateł. Pożegnaliśmy chłopaków, wręczając im pierładze i ruszyliśmy już sami. Że kunię oznaczała Koszyce, tego byliśmy pewni, ale czy jesteśmy na Węgrzech, tego, tak zupełnie pewni nie byliśmy. Upewniliśmy się dopiero po dojeździe do wsi i obejrzeniu przy świetle zapałki korony świętego Stefana na tablicy gminnej. Za wsią siedliśmy w śniegu i wypoczywaliśmy. A więc jesteśmy już na Węgrzech. Jest dzień 20-go marca. Groza i niebezpieczeństwa już za nami. Pierwsze chwile pobytu tutaj nie wywołują jeszcze radości. Zażadło jesteśmy wyczerpani fizycznie i duchowo. Profesor wyciąga pokęć skłony i nóż i kraje ją na równe części. - Skąd? - "Zgrandzona" u przewodnika w chałupie.

Cóż to drań myśli, że tylko on kiwać potrafi?

Jemy. Mija nas grupa rażno idących mężczyzn, którzy wesoło i życzliwie pozdrawiają nas w obcym języku. A więc rzeczywiście Węgry. Ale trzeba się spieszyć, bo świt blisko i żuńa, nasz drogowskaz, blednie. Marsz ten, ciągle pod górę, wydał nam się chyba najcięższym. Nic dziwnego, 51 kilometrów! Jurek co 200 metrów kładzie się na śniegu i wypoczywa. Tak dochodzimy nakoniec na szczyt. Jest już biały dzień. Przed nami pięknymi serpentynami opada wdół dobra i gładka droga, a w dole duże miasto. Koszyce! Tu nakoniec radość ogarnia nas całkowicie. Ściskamy się wszyscy. Jurek nabiera nowych sił i schodzimy do miasta równym i "wesołym" krokiem. Mam zaszyte w spodniach "zaskórne" dzieśięć pengö, więc idziemy do hotelu, skąd profesor przeprowadzi wywiad, czy jest jakieś przedstawicielstwo polskie, które tu kiedyś było. Jeżeli niema, to w hotelu wypoczniemy przez całą dobę i ruszymy dalej pieszo, do odległego stąd o 30 km, oficerskiego obozu internowanych w Hidas Nemeti. Tam przecież nam koleżny pomogą i dostarczą środków na bilety do Budapesztu.

Tu znowu odczuwamy skutki przysłowioowego "żuta szczęścia". Kiedy wchodzimy do miasta, wyglądamy tak okropnie, tacy brudni i tacy obszarpani, że żaden przedstawiciel władzy nie miałby najmniejszych trudności w rozpoznaniu, co za ptaszki i skąd idą. Do samego hotelu nie spotykamy ani jednego policjanta, ani wartownika.

W hotelu zapytuję zasnętego portiera, czy mogę dostać pokój. Ogląda nas chwilę.

- Na ile osób?

- O, pojedynczy, ci panowie przyszli tylko obtrzeć się - chwila milczenia.

- Można!

W pokoju prędko się rozbieramy i nawet nie myjąc się, walimy się spać. Ja z Jurkiem na żółko; profesor z Olszewskim na otomanę. Zasypiamy około godziny 7 rano, śpimy mocno. Ale już około 11 przed południem, budzimy się i przystępujemy do porządkowania się.

W unywalni jest gorąca woda. Rozkosz! Myjemy

się, zdejmujemy zbyteczną bieliznę, opatrujemy obtarte nogi, czystymy ubrania.

Profesor zabiera mi pozostałe 6 pengö i rusza na miasto. Po pół godzinie wraca z ogromnym pudłem ciastek i wędlin, które wręcza ostentacyjnie Jurkowi.

- To za dzielne sprawowanie się w drodze!

W pierwszej chwili myślę, że zwariował, Ostatnie pieniądze! Ale po rozradowanej minie widzę, że wszystko jest dobrze.

- Przedstawicielstwo Polskie jest /P.C.K./.

Czeka gorąca kawa, więc chodźcie!

Nie idziemy lecz lecimy jak na skrzydłach i po chwili jesteśmy.

Duży pokój, po środku stół i rzeczywiście kawa. Pod ścianami sienniki i kupa koców.

Na sali gromada dzielących się wrażeniami takich samych podróżników jak i my. Kilku Czechów. Przedstawiamy się inżynierowi - gospodarzowi. Pijemy kawę, piszemy pocztówkę do Mamusi, Jurek idzie spać, a my....

- Panowie oficerowie, do ewidencji!

I koniec. Akt drugi odbywa się we Francji. Akt trzeci zaś będzie skończony już w Polsce, w Warszawie, unajonej polskimi i brytyjskimi sztandarami na cześć wkraczających polsko-alianckich wojsk.

Szkocja, marzec 1941.

Czy wiecie, że...

Wojna a zazdrość.

Królewskie Siły Powietrzne wynalazły sposób, jak zmusić gołębie pocztowe do pospieszniejszego dostarczania powierzanych im przesyłek. Samiec zwykle się stara powrócić prędko do swej samiczki. Żeby czas ten jednak jeszcze skrócić, użyto następującego fortelu: Przed samym wyfrunięciem pokazuje się samczykowi jego małżonkę, gruchającą z rywalem. Lot jego, w tym wypadku na skrzydłach zazdrości, jest o 25% szybszy

To samo zaobserwowano u samiczek. Najszybszy, rekordowy lot, wynoszący 68.7 m. na g., wykonany został właśnie przez zaniepokojoną straszliwie młoda samiczkę.

Brytyjskie projekty na przyszłość.

Wszystkie wielkie wojny, powstałe na podłożu ideologicznym, zwiastowały narodom narodziny jakiegoś "nowego porządku", który miał wynagrodzić tysiąc -

krotnie ponoszone przez nie ofiary i cierpienia. Obecna wojna, aczkolwiek rozpętała z pobudek czysto materialistycznych, przerodziła się z czasem w krucjatę dobra przeciw złu - demokratycznych wolności przeciw totalistycznej niewoli. I po raz pierwszy bodaj w dziejach świata w walce tej wzięły aktywny udział nie tylko armie frontowe, ale całe narody. Dziś walczą wszyscy, nie wyłączając kobiet i młodzieży. Walczą zaciekle i zapamiętali o prawo do egzystencji i o lepsze jutro.

I tym się tłumaczy niespotykany dotychczas wzrost zainteresowania się społeczeństw zagadnieniami socjalnymi. Ludzie uświadomili sobie konieczność usunięcia, a przynajmniej złagodzenia występujących nagminnie niesprawiedliwości i nierówności społecznych, oraz zapewnienia każdemu człowiekowi znóśnych przynajmniej warunków egzystencji materialnej.

Te niesprawiedliwości i nierówności były dla każdego zawsze widoczne, niektórzy nad nimi ubolewali, niewielu jednak zastanawiało się nad sposobami ich usunięcia.

Wojna sprawiła, że zagadnienie to przestało być domeną rozważań szczupłego grona socjologów, ekonomistów i działaczy społecznych i stało się prawie powszechnym tematem artykułów w prasie codziennej i periodycznej, jak również licznych publikacji specjalnych.

Mamy właśnie przed sobą jedną z takich publikacji, mianowicie broszurę W. Russel Owen'a, zatytułowaną "The People's Food Charter", którą ze względu na oryginalność pomysłu rozwiązania zagadnienia sprawiedliwego rozdziału żywności po wojnie, poddajemy w streszczeniu krytycznej ocenie Czytelników.

Okres obecny charakteryzuje się wzrostem zainteresowania się ludzkości problemami społecznymi w skali nieznannej dotychczas w historii.

Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby tyle stronnictw politycznych, stowarzyszeń, związków i pojedynczych osobistości wydało tak wiele książek i broszur oraz wygłosiło tyle mów o konieczności zapewnienia ludziom sprawiedliwego udziału w korzystaniu z produkowanych dóbr. Stronnictwa polityczne

wszystkich odcieni zgodnie twierdzą, że z zakończeniem wojny musi się skończyć okres ubóstwa wśród ludzi i nastać era powszechnego dobrobytu. Jeżeli słuszny rozdział bogactw narodowych zostanie już dziś należycie zorganizowany, okres powojenny powinien przynieść ze sobą całkowity zanik nędzy i bezrobocia.

Ciekawym jest jednak, że wszystkie projekty rozdziału produktów pracy pomiędzy producentów, wiążą niezmiennie to zagadnienie z zagadnieniem pieniądza. Nic się nie da zrobić bez pieniędzy. Posiadanie ich warunkuje wypłatę zaopatrzenia emerytalnego, realizację planu Beveridge'a, zwiększenie dodatków rodzinnych - jednym słowem, pieniądze są motorem wszelkiego postępu społecznego.

Zapomina się wszakże, że pieniądz, jako taki, jest tylko środkiem wymiany dóbr, bez których staje się zupełnie bezwartościowym.

Następujący projekt słusznego rozdziału dóbr pomiędzy ludzi, powinien, zdaniem autora, przeność do przekonania wszystkich tych, którzy potrafią rozważać zagadnienia ekonomiczne w oderwaniu od pieniądza.

Koszty utrzymania człowieka stanowią podstawowy czynnik w kalkulacji kosztów produkcji i rozdziału dóbr. Wysokość zarobków, obliczona na podstawie wydajności i czasu pracy robotnika, winna być tak skalkulowana, żeby zapewniała minimum egzystencji jego i jego rodziny.

Jeżeli robotnicy mają być zdrowi, zarobki ich muszą im wystarczać na życie.

Wzrost przeciętnej kosztów utrzymania pociąga za sobą automatycznie wzrost przeciętnej kosztów produkcji. Podczas gdy jednak robotnicy zorganizowani w związkach zawodowych, są w stanie wymusić natychmiast odpowiednią podwyżkę zarobków, niezorganizowany świat pracy, jak również emeryci i osoby, żyjące z przyznanych rent i zaopatrzeń, nie mają żadnych możliwości wywalczenia sobie poprawy egzystencji materialnej.

Dałoby się temu zapobiec przez wprowadzenie dla wszystkich, niezależnie od wieku i stanu zamożności poszczególnych jednostek, pewnej jednolitej podsta-

wowej normy żywnościowej. Pozwoliłoby to na sfuzjowanie kosztów utrzymania danego okręgu administracyjnego /powiatu lub miasta/ a w konsekwencji zapewniłoby producentowi obniżkę kosztów, konsumentowi zaś - obniżkę cen nabywanych produktów.

Ministerstwo Apropowizacji dysponuje obecnie całym aparatem, potrzebnym do realizacji tego planu. Ludność przyzwyczajona jest do punktów i kuponów, a hurtownicy i detaliści dostosowali już do tego systemu swoje przedsiębiorstwa.

Podstawowa norma żywnościowa składałaby się z chleba, masła, margaryny, powideł, mleka, mięsa i różnych innych produktów w ilościach, jakie Ministerstwo uzna za niezbędne dla zdrowia ludzkiego.

Kupony i punkty byłyby nadal wydawane i uprawniałyby ich posiadaczy do otrzymywania w wybranych przez nich sklepach swych tygodniowych racji żywnościowych.

Za racje te jednak nie płaciłoby się, jak obecnie, gotówką. Koszt ich, obliczony łącznie na cały dany okręg, byłyby rozkładany na miejscową ludność w formie specjalnego podatku żywnościowego. Podatek ten, pobierany przez lokalne władze administracyjne, wymierzanyby był na podstawie specjalnie obliczonej wartości podatkowej domu, względnie mieszkania zajmowanego przez konsumenta, zupełnie niezależnie od ilości członków jego rodziny.

W ten sposób, koszt utrzymania licznej rodziny, opłacającej jednego funta komornego tygodniowo równałby się kosztowi utrzymania pojedynczej osoby opłacającej takie same komorne. Przy tym systemie, rodzice będą mieli całkowitą pewność możliwości wyżywienia swych dzieci. Bezrobocie i niezawinięte niestawiennictwo do pracy przestaną być równoznaczne z głodem w rodzinie. Dodatki rodzinne będą płacone nie w gotówce, a w produktach żywnościowych. Ojcowie małych rodzin będą brać udział w kosztach utrzymania jednostek, które przyjął na siebie obowiązek wychowywania liczego potomstwa.

Przez ujednoczenie kosztów utrzymania rodzin osiągnęłoby się obniżkę ogólnych kosztów produkcji w kraju, co otworzyłoby w konsekwencji szereg zagranicznych rynków zbytu, zamkniętych obecnie ze względu na zbyt wysokie ceny towaru. Więcej ludzi zna-

lazłoby zatrudnienie, i wzrósłby ogólny poziom zdrowotności ludności. Ministerstwo Aprowizacji mogłoby zorganizować planową produkcję i dostawę środków żywności, kontrolować ich jakość i regulować wartość odżywczą.

Olbrzymie koszty utrzymania szpitali, sanatoriów, zakładów dla obłąkanych, domów poprawczych i więzień zostałyby zredukowane do minimum. Niezbitą jest bowiem prawdą, że w zdrowym ciele mieszka zdrowy duch. Z otwarciem nowych rynków zbytu obniżyłyby się wydatki na ubezpieczenie od bezrobocia. Emeryci i osoby żyjące z przyznanych rent i zaopatrzeń miałyby zapewnione należyte odżywianie.

Kupony i punkty, wydawane przez Ministerstwo byłyby składane przez posiadaczy u detalistów, którzy przesyłaliby je lokalnym władzom administracyjnym. Władze te płaciłyby za wydaną przez detalistów żywność, ci zaś ostatni rozliczaliby się z kolei z odnośnymi hurtownikami.

Koszt wyżywienia ludności danego okręgu, obliczony na podstawie zrealizowanych w ubiegłym okresie podatkowym kuponów i punktów, stanowiłby podstawę wymiaru podatku żywnościowego w następnym okresie.

Na zarzut, że przy proponowanym systemie bogaty brałby udział w kosztach utrzymania ubogiego, można odpowiedzieć, że w W. Brytanii zasada ta jest już od dawna stosowana w odniesieniu do wydatków na oświatę, zaopatrzenia ludności w wodę i szeregu innych usług społecznych i uznawana jest za słuszną i sprawiedliwą. Wprowadzenie w życie podstawowej normy żywnościowej przyniosłoby znaczne podniesienie dobrobytu narodu, jako całości, nie zmniejszając wcale przedsiębiorczości i zmysłu oszczędzania u jednostek. Norma ta obliczana byłaby tylko na zaspokojenie minimum potrzeb człowieka w zakresie wyżywienia i mogłaby być uzupełniana w drodze nabywania z wolnej ręki dodatkowych produktów żywnościowych. Nie wpływałaby więc ona w najmniejszym stopniu na spadek ogólnych obrotów handlu detalicznego i hurtowego.

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA PÓLROCZNA 6/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
43, BRUNTSFIELD PLACE. EDINBURGH, 10.
Tel. 53061.

Wyznania niewyciężonych żołnierzy.

Co się naprawdę dzieje wewnątrz "Fortecy Europejskiej" a w szczególności, co się odbywa w sercach i i mózgach jej czasowych niemieckich władców? Czy zachodzą w nich jakieś zmiany, zwiastujące zbliżającą się jutrzeńkę wolności dla umęczonych narodów Europy, czy też wciąż jeszcze, pomimo walących się na nich zewsząd klęsk i niepowodzeń, uważają oni siebie za nadludzi, będących pod szczególną opieką starego germańskiego Boga, który wcześniej czy później obdarzy ich panowaniem nad światem.

Nie mamy pewności jak ta sprawa istotnie się przedstawia. Możemy tylko snuć na ten temat przypuszczenia, oparte bądź na własnych domysłach, bądź na wypowiedziach "czynników miarodajnych", do których musimy mieć zaufanie, bądź wreszcie, na obserwacjach osób, które miały możliwość bezpośredniego zetknięcia się z przedstawicielami "herrenvolk'u". Na tym ostatnim źródle nie zawsze można się opierać. Pominąwszy bowiem istniejącą możliwość wykorzystywania go dla celów tej czy innej propagandy, jest ono zwykle zabarwione optymizmem lub pesymizmem obserwatora, i trudno jest niejednokrotnie odróżnić, gdzie się kończy obiektywna rzeczywistość a zaczyna subiektywna jej ocena.

Jest to jednak źródło ciekawe, wprowadza nas bowiem w świat ludzi żywych, którym sami przyjrzeć się nie jesteśmy w możności i daje to nam możliwość do wysnucia własnych wniosków z tego, co robią.

Posłuchajmy więc co mówi o żołnierzach niemieckiej armii okupacyjnej Mademoiselle Suzette w czasopiśmie London Calling, która niedawno przybyła do Anglii z Brukseli.

Jeszcze kilka tygodni temu siedziałam w swoim ogrodzie pod Brukselą i rozmawiałam z niemieckimi żołnierzami i oficerami, których w czerwcu 1940 r. władze okupacyjne zakwaterowały w naszym domu. Od tej chwili przebywaliśmy stale w towarzystwie władców Europy. Nie mieliśmy możliwości uniknięcia

stykania się z nimi i musieliśmy wysłuchiwać ich zwierzeń, nadziei i obaw.

Z biegiem czasu zmieniali się, oczywiście nasi lokatorzy i ich mundury. Ulegali także przeobrażeniu wewnętrznemu zamieszkali w domu naszym żołnierze, jak również i ich serca. Znikła wiara w posłannictwo Adolfa Hitlera, zachwiała się w większości pewność ostatecznego zwycięstwa, albowiem Hitler rozczarował ich.

Moim zadaniem było wysłuchiwać opowiadań i rozmów żołnierzy niemieckich i raportować o nich organizacji podziemnej.

Przekonałam się przy tej okazji, że hitlerowiec rozmawia szczerze tylko wówczas, gdy jest sam. Wykluczone są jakiegokolwiek wynurzenia w obecności kogoś ze swych kolegów. Zawsze bowiem, niezależnie od mocy i czasu mogącej ich łączyć przyjaźni, wciska się pomiędzy nich nieodstępne widmo strachu.

W oczach Niemca, każdy inny Niemiec, nawet gdyby był jego najlepszym przyjacielem, może być agentem Gestapo. Bez świadków natomiast jest on zawsze skłonny do najbardziej intymnych zwierzeń.

Ostatniego wieczoru spędzonego w Belgii, pewien młody żołnierz, świeżo przybyły z rosyjskiego frontu, płakał na moim ramieniu. Trudno jest wyobrazić sobie młodego hitlerowca, wypłakującego swe zgryzoty, szlochającego nad fotografią swej żony i dzieci i opisującego z przerażeniem piekielną grozę rosyjskich lodów i śniegów. A jednak zdarzało mi się to niejednokrotnie. I zawsze powtarza się jedna historia: fotografia żony i dzieci, list z domu, wymięta, zbrudzona depeza z lakoniczną wiadomością o śmierci brata, ojca lub kogoś bliskiego na froncie rosyjskim, w Afryce lub we Włoszech. I wiecznie to samo gorzkie rozczarowanie, to samo zabieganie o zrozumienie, o sympatię, ta sama chęć wyrwania się poza mur otaczającej ich nienawiści.

Życie w ciągłym strachu i wśród wciąż nowych rozczarowań, stało się dla żołnierzy niemieckiej armii okupacyjnej rzeczywistym piekłem na ziemi. Liczba samobójstw w Belgii jest obecnie wysoka,

o ile jednak w odniesieniu do Belgów nie zwiększyła się ona prawie, w porównaniu do stanu przedwojennego, wśród okupantów samobójstwa stały się zjawiskiem prawie codziennym. Umierają oni w dodatku nie tylko z własnej ręki - częste egzekucje zbierają również obfite żniwo.

Jeden z moich znajomych artystów malarzy wybrał się pewnego ranka za miasto z zamiarem namalowania zimowego świtu. Nagle, niedaleko od obranego miejsca pojawiły się na skraju niewielkiego lasku dwa niemieckie wozy ciężarowe, zapelnione żołnierzami. Około piętnastu w pośród nich było umundurowanych i uzbrojonych w karabiny, dwudziestu zaś miało na sobie tylko koszule i spodnie.

Na oczach świadka, skamieniałego ze zgrozy, dwudziestu półubranych żołnierzy ustawiono w szeregu, tyłem do plutonu egzekucyjnego i dwiema kolejnymi salwami rozstrzelano. W dwie minuty po egzekucji załadowane trupami wozy odjechały. Z powodów, których się tylko można domyślać, dwudziestu żołnierzy zostało skreślonych ze spisów armii niemieckiej. Zbuntowali się zapewne, lub zdradzili upadek ducha.

Duch, panujący w armii okupacyjnej, nie jest wysoki. Wystarczy zajść do pierwszego, lepszego kina, ażeby się o tym przekonać. Przed głównym obrazem wyświetlane bywają zwykle wiadomości wojenne, zawierające zwykle sceny z walk na froncie rosyjskim. Rozentuzjasmowany sprawozdawca opowiada z przejęciem, jak to sławne armie niemieckie, kroczące na rozkaz Führera naprzód ku pewnemu zwycięstwu, druzgoczą wszystkie napotkane przeszkody. Możliwym jest, że on sam wierzy w to co mówi, znajdujący się jednak na widowni żołnierze, z których większość była w Rosji, są nieco innego zdania i zagłuszają głos sprawozdawcy wyzwiskami, kpinami i krzykami. Często się zdarza, że żandarmeria niemiecka opróżnia salę.

Musimy sobie zdać sprawę z tego, jakie miejsce zajmuje front rosyjski w mózgach Niemców, ażeby móc zrozumieć możliwość tego rodzaju wybryków ze strony tak zdyscyplinowanych żołnierzy. Zdarzało mi się niejednokrotnie widzieć dywizje,

a właściwie niedobitki dywizji, powracających z Rosji. Są one zwykle zredukowane do jednej trzeciej swych normalnych stanów. Oznacza to, że z całej dywizji, która jako zwarta, potężna jednostka bojowa, wyruszyła do Rosji, dwie trzecie tam pozostały, zagnębione i wybite pośród śniegów.

Wielu żołnierzy gorzko się przede mną żaliło: "Rosja - to bezkres puszczy i śniegów, to koniec świata. Idąc tam, żaden z nas nie ma nadziei na powrót. My tam już nie pójdziemy! My tam już nie pójdziemy!" W głosach ich brzmi przepełniająca ich serca rozpacz i beznadziejność. Nieodstępnym ich towarzyszem jest wieczny strach.

Mimo wszystko jednak, wracają oni do Rosji. Widziałam pociągi wojskowe, pełne żołnierzy - weteranów, młodych chłopców, nawet inwalidów - odchodzące w kierunku określanym przez nich, jako koniec świata.

Odbywa się to zwykle w sposób następujący: rozbita dywizja, powracająca z Rosji przewożona jest bezpośrednio do Francji, bez zatrzymywania się czy to w Rzeszy czy w Belgii. Po przybyciu na miejsce, dywizja taka wypoczywa i przechodzi reorganizację. Wyrwy w stanach uzupełniane są żołnierzami z garnizonów norweskich i młodym rekrutem z batalionów szkolnych z północnej Francji. Uzupełnianie dywizji odbywa się szybko, zbyt szybko dla żołnierzy, którzy już w Rosji walczyli. Widać to wyraźnie po ich twarzach. Żołnierze niezwykłej armii niemieckiej po prostu się boją. Stają się małomówni, ponurzy, niektórzy dezertują. Zdarzają się starcia z żandamerją; paru popełnia samobójstwo. Nierzadko ćwiczenia odbywają się pod osłoną karabinów maszynowych.

Obserwując tego rodzaju sceny, ma się wrażenie, że się widzi bydło, stłoczone w długich zagrodach. Jęczące i zdenerwowane zwierzęta instynktownie czują, że są one dla nich ostatnim etapem przed niechybnie oczekującą ich rzeźnią.

Drugim, niemniej poważnym źródłem rozczarowań Niemców jest powietrzna ofensywa Aliantów. Żołnierze słyszą nocami nieprzerwany huk przelatujących nad nimi, fala za falą, potężnych maszyn

i wiedzą że wszystkie one lecą do Vaterlandu. Następnego dnia z ust do ust podawane są wiadomości: "ostatniej nocy byli nad Kolonią. Biedny Hans! Jego żona mieszka w samym środku pomiędzy zabudowaniami fabrycznymi". Albo: "słyszysz? Himmel! to okropne! Essen było znowu bombardowane, trzeci raz w ciągu dziesięciu dni! Boże miłosierny, żeby tylko otrzymać jakieś wiadomości o rodzinie. Już dwa miesiące nie mam słówka od Marty ani od dzieci. Napewno nie żyją - ona zawsze tak regularnie pisała!"

Tak ludzi tych trawi bezustanny strach. Drżą przed tym co ich czeka w razie wysłania na front rosyjski, i ogarnięci są przerażeniem na myśl o losie swych rodzin w Niemczech. Armia niemiecka nie zna organizacji, istniejącej w armii brytyjskiej i dostarczającej każdemu żołnierzowi wiadomości o jego rodzinnym mieście, o ile zostało ono zbombardowane. Zapewniającej opiekę jego rodzinie i udzielającej mu niezwłocznie urlopu w celu jej odwiedzenia.

Ofensywa powietrzna Aliantów nie tylko niszczy przemysł wojenny Rzeszy, lecz również mocno osłabia i ducha armii niemieckiej. Przeciwko takiej broni, najbardziej nawet zahartowani w bojach żołnierze, nie potrafią długo walczyć.

My, Belgowie, widzimy strach malujący się na ich twarzach i odczuwamy w sercu zawziętą radość. Walka może być jeszcze długa i ciężka, koniec jej jednak już jest widoczny.

Treść numeru 5-go.

1. DALEKA DROGA DO JAPONII.....	str. 114.
2. ROZUM POLITYCZNY TURCJI.....	117.
3. WOJNA PSYCHOLOGICZNA.....	120.
4. TAJEMNICA EL ALAMEIN.....	124.
5. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA - zakończenie.....	127.
6. CZY WIECIE, ŻE.....	131.
7. BRYTYJSKIE PROJEKTY NA PRZYSZŁOŚĆ.....	131.
8. WYZNANIA NIEZWYCIEŻONYCH ŻOŁNIERZY....	136.

OKŁADKA: İsmet İnönü, prezydent Turcji.

/patrz artykuł str. 117/.

Published and edited by J. Staliński.

Printed by "Co Słychać". 43, Bruntsfield Place, Edinburgh.